

Koniec pory deszczowej w Serengeti to początek wielkiego triumfu śmierci. Powoli opada szara zasłona wody, a przez jaśniejące niebo przebijają zabójcze promienie afrykańskiego słońca. Rzeki zamieniają się w małe bajora, wokół których kotłuje się wojna o zwierzęce prawa do wody, jedzenia i terytorium. Antylopy zwołują się w dwumilionowe stado i wędrują za deszczem.

Nam pozostał poker i dobra rosyjska wódka. Zaopatrzeniem zajął się fotograf z Amsterdamu, Dawid Kunz, korespondent kilku fundacji i wolny strzelec. Kunz był Żydem i często przypominał nam o swym pochodzeniu, próbując w ten sposób coś dla siebie ugrać.

Drugim kompanem do pokera był młody Niemiec, Paul, przyrodnik, badacz i doktorant uniwersytetu w Getyndze. Fajny chłopak. Trochę niepokorny, często walczący o swoje racje, a przy tym koleżeński i ładny młodocianością połączoną z niebywałą inteligencją.

Byłem wtedy korespondentem tureckiej stacji telewizyjnej i robiłem przyrodnicze reportaże, filmy i diabli wiedzą, co jeszcze, a właściwie wszystko, za co można było dostać parę groszy.

Kunz miał dobre układy w Nairobi i kombinował. Sprzedawał Rosjanom informacje o zapotrzebowaniu na broń wśród miejscowych plemion, załatwiał wojskowe konserwy, ciuchy, materiały fotograficzne i oczywiście wódkę. To był dobry interes. Zaopatrzenie dostarczał nam stary kumpel wszystkich reporterów, Akiba Naduu, kenijski jubiler i handlarz diamentami.

- Zobaczycie! - powtarzał często Kunz. - Jak tylko skończymy tę pieprzoną robotę pojedziemy do Pemba na białe dziwki. Mam tam zaprzyjaźniony burdelik. Palce lizać, panowie. Biała dziwka w Afryce to rarytas!

Paul był w przeciwieństwie do Kunza drobnym i anemicznym mężczyzną, ale ciągnął wódkę za dwóch i nigdy się nie upijał, Grał dobrze w pokera i płacił karciane długi. Kunz, natomiast, pił niewiele i zawsze wygrywał. Miał szczęście.

Siedzieliśmy od trzech tygodni na małym wzgórzu, oczekując na antylopy. Przed nami leżała wielka sawanna, płaska jak stół i sięgająca aż do jeziora Wiktorii. Graliśmy w pokera dobieranego z pojedynczym przebicciem do wartości banku. Nie chcieliśmy się ogrywać, a bardziej grać jak najdłużej. Kunz był dobrze do przodu od Paula. Ja byłem na zero. Na stole uzbierała spora kupka amerykańskich dolarów, a karty lepiły się do palców. Był środek nocy i gdy kładłem do banku swoje przebiccie - miałem trójkę waletów - odchyliła się zasłona namiotu i weszła stara Masajka Baluu.

- Panie Jery - powiedziała. - Pański pies zdycha za namiotem. Krew mu z pyska leci.

Moja ręka zawisła nad stołem. Powoli położyłem na kupce banknotów swoje przebiccie i powiedziałem:

- Wasze dwa i moje pięć w górę.

Baluu była naszą służącą. Miała niedołęznego syna i to był dla niej wielki problem.

- Sprawdzam i idę spać - powiedział Paul.

- Sprawdzam i ja - Kunz rzucił na stół piąta.

Wygrałem. Moje walety były mocną kartą. Baluu podeszła do stołu, poprawiła dogasającą lampę, pozbierała puste butelki i ułożyła w rogu namiotu.

- Pański pies, panie Jery, co z nim będzie? - położyła rękę na moim ramieniu.

Murzynka mówiła angielszczyzną pomieszaną z językiem suahili.

- Nic mu nie będzie, Baluu, pewnie się zranił - odparłem i rozlałem do kieliszków wódkę.

- Napijesz się z nami?

- Nie piję. A pies zdechnie do rana, panie Jerry.

Kunz potasował karty i rozdał na dwóch. Paul okręcił się śpiworem i poszedł spać pod moskitierę.

- Baluu - odparłem. - Połóż się w samochodzie. Jutro będzie robota.

Baluu miała syna i nie w tym problem, bo miała jeszcze pięciu chłopaków. Tamci, wysocy i szczupli jak świece. Wszyscy już dawno stali się wojownikami, mieli swoje inkajijik, czyli chałupy i długie włosy. Kłopotem i wielkim utrapieniem był najmłodszy Jakaya. Już to mówiłem. On, ten Jakaya, był całkiem serio upośledzony na umyśle i chromał na nogę. To było wielkie nieszczęście. Kaleka w wiosce Masajów, to same kłopoty - tak mówiła Baluu.

- Co z twoim psem? - zapytał Kunz.

- Nic. Zranił się i leży.

Prosto z ręki Kunza dostałem dwa asy i blotki. Oczywiście, wymieniłem dwie. Niech myśli, że mam trójkę.

- To ja też dwie - powiedział Kunz. - Takie strachy nie na mnie.

Przeczekałem, a Kunz zagrał za trzy dolce. Dałem bank i podniosłem do dziewięciu, oczekując sprawdzenia. Nie podnosiłem kart, grałem na dwa asy, w ciemno.

- Jak chcesz, to zobaczę twojego psiaka, co?

Kunz znał się na chorobach zwierząt i był w tym dobry.

- Czy ja wiem? - odpowiedziałem. - Pies to tylko pies. Poleży i wstanie zdrowy. Może nadział się na mocniejszego?

Mój towarzysz uśmiechnął się i rzucił na stół dwadzieścia dolarów.

- Twoje dziewięć i moje dziesięć do góry - powiedział. - Rozegramy, a potem zerknę na psa, Jerry, szkoda kundla.

Zrobiło się cicho. Na stole leżało już prawie trzydzieści zielonych, a my udawaliśmy, że nic ciekawego się nie dzieje, że wszystko, Baluu, mój chory pies i śpiący Paul są ważniejsi od pokera. Taki bluff, wiem coś o tym. Upajaliśmy się ciszą, udawaliśmy obojętność, nie patrząc na stół i karty. Graliśmy na czas. Nagle, w tę zastygłą atmosferę wszedł dziwny jęk, inny i nieznany. Spojrzeliśmy na siebie.

- Pies - powiedziałem.

Jęk powtórzył się długim przeciągłym zawodzeniem, wzniósł się wysoko i zgasł.

- Nie - zaprzeczył Kunz. - Tak wyje człowiek.

Przez kilka minut nasłuchiwaliliśmy, wyławiając nocne odgłosy sawanny. Na próżno.

- Graj - szepnął Kunz.

Wtedy po raz drugi uchyliła się zasłona namiotu i weszła Baluu. Podeszła do stołu i nieoczekiwanie usiadła na krześle Paula. Nigdy tego nie robiła.

- Co się stało, Baluu? - zapytałem.

- Pan Kunz mi pomoże - powiedziała. - Ja wiem o tym. Ale ja nie mogę z panem Kunzem gadać i wiem, dlaczego. Czy wysłucha pan mojej opowieści? Panie Jerry?

Baluu miała na sobie czerwoną szatę i ciężkie, metalowe obręcze na szyi. Miała też duże, masajske oczy i jeszcze większy smutek wytatuowany na twarzy. Po chwili ciszy położyła dłonie na naszych dolarach i zanuciła pieśń.

- Śpiewa w języku maa - powiedział Kunz. - Nie rozumiem tego, ni w żąb. Baluu, o czym śpiewasz?

- Ja się modlę, proszę pana.

Kobieta miała dłonie pocięte ciężką pracą. Męskie dłonie

- Idę zobaczyć psa - Kunz schował karty do kieszeni. - Dogramy później.

Nałożył kapelusz, wziął latarkę i wyszedł. Baluu ze wstrętem wytarła dłonie o czerwoną suknię i

pochyliła się w moją stronę.

- Panie Jerry, mój Jakaya może jutro umrzeć, a ja chcę żeby żył. Czy to źle? Czy może mi pan pomóc?

- Mogę, Baluu, ale jak?

- Kunz ma lekarstwo. Niech pan uprosi kolegę żeby dał dla Jakaya.

Baluu oprócz tego, że była matką, była też córką masajskiego wodza. Dzieciństwo spędziła w Dar Es Salaam, gdzie skończyła jakąś szkołę. Nie była głupią murzynką.

- Nam nie wolno leczyć Masajów - powiedziałem. - To nie nasza sprawa. Wiem, o co chodzi, Baluu. Ty chcesz leki, bo twój syn przejdzie jutro obrzezanie. Mamy zakaz ingerowania w wasze tradycje.

- On tego nie przeżyje.

Zwiesiła głowę i zaczęła kiwać rytmicznie ciałem, śpiewając swoją modlitwę. Wtedy po raz trzeci odchyliła się zasłona namiotu i wszedł Kunz. Wypił kieliszek wódki i powiedział:

- Tyfus!

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Baluu odskoczyła od stołu i schowała się za moskitierę.

- Jak tyfus? - zapytałem. - Co ty mówisz?

- Psi tyfus. Tak się to nazywa.

- I co teraz?

- Psa trzeba dobić i to szybko, a potem głęboko zakopać. Męczy się jak cholera. Musimy też utrzymać wszystko w tajemnicy, bo jak się dowiedzą chłopaki z rezerwatu to będzie wielki kłopot. Mogą nas wypieprzyć z Serengeti.

- Mogą, Kunz.

Spod moskitiery wyszedł przebudzony Paul. Usiadł przy stole.

- Widzę, że nasz Żyd robi zadymę - powiedział. - Co się dzieje? Nie gapcie się na mnie. Mówcie, do kurwy nędzy.

Kunz przełamał z trzaskiem palce - zawsze tak robił, gdy się wkurzał.

- Uważaj, Paul! Słowo "Żyd" w szwabskim ryju brzmi niebezpiecznie!

Zanosiło się na kolejną awanturę. Znałem ich obu, jak codzienna rację chleba i wiedziałem, że takie wybuchy kończą się zawsze butelką pojednania. Podobno Kunz uratował życie Paulowi. Nie wiem, tak słyszałem, że niósł nieprzytomnego wiele kilometrów na plecach. Gdzieś nad brzegiem Mekongu, gdy filmowali razem połów pangazjonodona - to jakaś potworna ryba, co jak się wkurzy, to dochodzi do czterystu kilogramów wagi - wpadli w ręce kłusowników. Nie wiem, nieważne. Żaden tym się nie chwalił.

- Wy Żydzi zawsze rzygacie Niemcom w twarz - powiedział Paul. - By stać się waszym wrogiem wystarczy być z Westfalii, albo innego pieprzonego landu. Gudłaje, kurde!

Wiedziałem, że muszę się wtrącić, bo kłótnia może potrwać do rana, a zanosiło się na mnóstwo roboty.

- Kunz! - zawołałem. - Mieliśmy grać! Prawda? A ty Paul nie przeszkadzaj! Zawiń dupę w śpiwór i wracaj na materac!

Baluu wyszła z namiotu i znowu rozległ się ten niesamowity jęk. Paul nie poszedł spać. Zajął się pić wody, a my wróciliśmy do gry. Miałem wielką ochotę sprawdzić, ale niewyraźna mina Kunza mówiła sama za siebie. Wygrzebałem ostatniego dwudziestaka i rzuciłem na stół.

- Twoje dziesięć i moje dziesięć. Co ty na to, Kunz?

- No właśnie. Sam nie wiem, czy warto grać o te pieniądze? Ty Jerry jesteś już goły, a moja karta wymaga bardziej dynamicznej licytacji.

Marszczył czoło i udawał, że intensywnie myśli. Wiedziałem, że to kolejny bluff.

- A kto zabije psa? - zapytał.

- Ja jestem Niemcem - powiedział Paul. - Nam nie wolno, nawet psa, bo co by na to powiedział nasz stary

Kunz?

- Mam inny pomysł - Kunz uśmiechnął się półgębkiem, a ja wyczułem jakiś podstęp. - Zagramy, Jery, o twojego psa. Co ty na to?

- Chcesz grać o mojego zdychającego psa?

Jęk Baluu stawał się powoli nie do zniesienia.

- O jego śmierć zagramy - powiedział Kunz. - I to, co na stole.

Wyjął z kieszeni małą strzykawkę. Poznałem, to była jednorazówka morfiny. Głupi Kunz uśmiechał się podejrzliwie i kombinował dalej.

- Możemy skrócić cierpienia psa, albo... Albo pomóc człowiekowi. Co ty na to, Jery?

- Nie rozumiem, co tam pieprzysz, Kunz - odparłem stanowczym tonem. - Do rzeczy!

- Wygrasz - zaczął bawić się strzykawką. - Twój pies może umierać szybciej i łagodniej. Przegrasz, Jery, dam morfinę Baluu. Przynajmniej jej syn przejdzie bez bólu inicjacje.

- Jesteś kawał skurwysyna!

Zagraliśmy. A co mogłem zrobić? Miałem dwa mocne asy i nieodkryte trzy karty, co dawało jakąś nadzieję. Dla porządku, Kunz sprawdził za dziesięć docłów i wszystko miało się za chwilę rozstrzygnąć. I znowu odchylił się zasłona namiotu i weszła Baluu. Z dzikim wyrazem twarzy, zapłakana stanęła za moimi plecami. Poczułem, że rozumiała, o co toczy się gra. Paul przyglądał się wszystkiemu z lekkim rozbawieniem, napełniał co chwilę kieliszek i wypijał. Nie chciał się wtrącać.

- To co? - powiedział Kunz. - Zaczynamy? Odkrywamy po jednej, dobrze?

- Stawiam moje humbaki - wtrącił się Paul. Wychłał pół butelki, ale wiedział co mówi. - Wygrany jedzie ze mną do Australii filmować humbaki. Stoi?

Przytaknęliśmy jednocześnie. Ja i Kunz. Wyrzuciłem na stół moje dwa asy, a Kunz asa i dziewiątkę. Baluu przykucnęła tyłem do nas i znowu zaczęła się kiwać. Moją trzecią kartą była trójka. Kunz miał dziewiątkę. Czwartą kartą Kunza też była dziewiątka. Ja odkryłem trzeciego asa.

- Ratuje mnie czwarta dziewiątka - powiedział podniecony Kunz. - A ciebie, Jery, przy karecie dziewiątek nic nie uratuje. Jak widzisz, czwarty as jest u mnie.

- No, który wygra? - Paul zatarł ręce. - Od razu mówię, że wylatujemy z Monachium. Formalności na mojej głowie.

Odwróciłem tę pieprzoną kartę i rzuciłem na stół drugą trójkę. Miałem fula na asach. Kunz, bardzo powoli odgiął róg, spojrzał i syknął nieprzyjemnie.

- Cholerny szczęściarz z ciebie, Jery - powiedział. - Masz chłopaku fart i zabieraj morfinę, jest twoja.

Szybko zgarnął wszystkie karty i przetasował.

- Ta ja idę położyć się w samochodzie - powiedziała przez łzy Baluu. - Muszę się wyspać, bo czeka nas robota.

- Ja też się położę - westchnął Paul. - Już po przedstawieniu, chociaż, było bardzo przyjemnie.

Tak - przytaknąłem. - Musimy się przekimać. Mam małą prośbę, Kunz, zrobisz coś dla mnie? Nic wielkiego.

- Mów, Jery.

- Daj mojemu kundlowi ten zastrzyk, co? Wiesz, ja nie mam wprawy i nie lubię.

Kunz, bez wahania wziął ze stołu strzykawkę i odbezpieczył igłę.

- Nie ma problemu, Jery - powiedział. - W końcu to twoja wygrana. Chętnie ulżę psiakowi.

Gdy Kunz pomagał zdychać mojemu psu, dopiłem resztę wódki. Było tego pół butelki.

*

Wstaliśmy wraz z upałem, tuż po wschodzie słońca. Obudziła nas Baluu. Weszła do rozgrzanego i dusznego namiotu, podniosła zasłonę i wpuściła do środka falę suchego skwaru. Leżeliśmy zlanii potem i zmęczeni wodą, odwodnieni i osłabieni. Po chwili, niczym zgonione hieny, chleptaliśmy ciepłą wodę zaprawioną odkażającymi tabletkami - dar od Rosjan z Kabulu. Do każdej butelki alkoholu dokładali opakowanie prochów. Wiedzieli, co robią. Baluu zachowywała się zupełnie inaczej niż w nocy. Uśmiechała się i krzątała żwawo wokół namiotu. Siedzieliśmy przy stole, umoczeni potem i każdy z nas myślał o nadchodzącym dniu.

- Zaczyna się piekło - powiedział Paul.

Kunz, co chwilę wycierał twarz w brudny ręcznik i ciężko oddychał, silił się na uśmiech i widać było jak zmęczenie rysuje ostrą kreską zmarszczki wokół jego ust.

- Baluu! - zawołałem. - Co się dzieje na sawannie?

Murzynka weszła do namiotu i powiedziała:

- Przyszły! Sawanna się poruszyła.

Wiedzieliśmy, co nas czeka. Przecież czekaliśmy na antylopy. Nikt z nas nie miał żadnego pomysłu na pozbieranie się w kupę, na zwinięcie namiotu i resztę tej całej pieprzonej roboty. Upał i przepicie obezwładniały nas i odbierały siły. Pomogła nam Baluu.

- Przeprowadziłam ludzi do pomocy - powiedziała. - Już sprzątają na zewnątrz. Przyszli moi synowie z żonami..

Wyszliśmy przed namiot i spojrzeliśmy w kierunku Kilimandżaro.

- Baluu? A co z twoim małym? - zapytał Kunz. - Co z Jakaya?

Kobieta zrobiła minę szczęśliwej matki. Nie, to nie była wczorajsza Baluu.

- Za chwilę będzie miał próbę bólu, proszę pana, a pod wieczór obrzezanie. Mój syn jest dzisiaj bardzo dzielny.

Przed nami poruszała się sawanna. Setki tysięcy antylop, głowa w głowę, szło w stronę rzeki.

- Cholerny upał - powiedział Paul.

Z wielkim mozołem zapakowaliśmy wszystko na samochód, klnąc i utyskując na paralizujący żar. Musieliśmy wyprzedzić o kilka godzin antylopy i rozbić obóz nad rzeką, ustawić sprzęt i czekać. Gnu szły powoli, wyjadając trawę do ziemi, a za nimi małe stada zebra i gazy Thompsona. Po przejściu dwóch milionów kopytnych ziemia zrobiła się czarna i naga, obdarta z zieleni, do następnej pory deszczowej.

Mieliśmy zaklepane z zarządkiem Serengeti dobre miejsce, tuż nad rzeką w akacjowym gaju pełnym zbawienego cienia. Obiecaliśmy sobie, że po zainstalowaniu odbijemy butelkę wódki i wypijemy za pomyślność. To było bardzo obiecujące postanowienie.

Baluu, po spakowaniu wszystkich klamotów oddaliła się wraz z synami do swojej wsi. Nie zatrzymywaliśmy kobiety, miała dzisiaj swoje wielkie święto - jej upośledzony syn miał stać się mężczyzną.

Przed nami był niewielki kawałek drogi, może trzydzieści mil, ale w tak rozpalonym piecu, gdzie nie ma żadnych dróg, podróż wydłuża się w nieskończoność. Moi towarzysze ułożyli się z tyłu, a mi pozostała kierownica - chrapali całą drogę, jak stare prądownice.

Dotarłem na miejsce po prawie dwugodzinnej jeździe, po przepychaniu się pomiędzy zwierzętami, ustępowaniu z drogi, strasząc klaksonem bardziej agresywne grupy. Rzeka, szeroka i wezbrana po deszczach, była metą podróży i ostatecznym celem naszej roboty. Mieliśmy sfotografować przejście antylop przez niebezpieczny nurt. Po dotarciu do akacjowego zagajnika wywlokłem brutalnie towarzyszy z samochodu - dobry sposób na budzenie skacowanych fotoreporterów. Wyglądali jak wszystkie

nieszczęścia sawanny wrzucone do wanny wypełnionej ludzkim potem.

- To już? - zapytał Paul. - Tak dobrze się spało.

Do dzisiaj nie wiem, co takiego dobrego było w śnie Paula. W takim upale?

- Ale piekarnik - westchnął Kunz. - Dobrze, że mamy drzewa. Może nie rozbijamy namiotu? Zrobimy brezentową wiatę i będzie dobrze.

Powoli rozpięliśmy kawał płótna pomiędzy drzewami i ustaliliśmy swoje miejsca. Mój Rolleiflex nadawał się na złom, ale wyposażony w najlepsze teleobiektywy Zeissa jakoś nadażał. Paul i Kunz pracowali kamerami.

- To, co? - zapytałem. - Odbijamy butelkę?

- Jasne - powiedział Paul. - Przecież to ustalone, nie?

- A ja mam wszystko w dupie i modłę się o koniec tej parszywej roboty - stwierdził Kunz.

Otworzyłem konserwę, na zakąskę - do tej wódki.

- Boże! - Kunz usiadł pod wielką akacją. - Jak ja bym chciał być już w Pemba. Panowie! Mały bajzel z wannami w kolorze indygo, a dookoła chodzą białe dziewczyny. Masują plecy, przypalają papierosa, podają szklaneczkę. Chcesz więcej? Kiwasz małym palcem i masz.

- Pieprzysz, Kunz, jak każdy alkoholik - powiedział Paul. - Dlaczego akurat białe, a nie czarne? Co?

Paul był gejem i nigdy tego nie ukrywał, ale, przy tym, miał wielką zaletę. Umiał zachować się nawet w burdelu.

- Dlaczego? - odparł Kunz. - Dlaczego białe? A dlatego, bo czarne mają średnio po dwanaście lat. Dlatego. Pieprzyłeś białą kobietę w środku Afryki? Paul, wchodzisz do małego domu, tuż nad oceanem i widzisz raj. Białe, na oko trzydziestoletnie dziewczyny krzątają się wokół ciebie, a każda uśmiecha się, buja biodrami, kusi dekoltem. Powiem wam coś. Nie ma nic lepszego na tym parszywym świecie niż doświadczona, trzydziestoletnia dziwka.

- Myślałby kto - zaśmiał się Paul. - Myślałby kto, że z ciebie, Kunz, taki ogier.

Zrobiłem kanapki z konserwowanym tuńczykiem i włączyłem się do rozmowy.

- Myślicie, że do wieczora skończymy?

- Może tak, ale widzisz... Upał jak diabli - odparł Kunz.

- Kiepsko z nami - dodał Paul. - Niepotrzebny był ten poker i tyle wypitej wódki.

Jedzenie czegokolwiek w takim skwarze przypomina karmienie kormoranów. Trzeba mocna odchylić głowę i wepchnąć kęs do gardła. Gryzienie nie wchodzi w rachubę, bo wszystko smakuje jak trociny.

- Poker był potrzebny - powiedział Kunz. - Ja mam na odwiedziny w Pemba, Jerry ma z głowy psa, a ty, Paul, kumpli na wyprawę do Australii.

- Tak, popracujecie dla mnie - przytaknął Paul.

Przesiedzieliśmy tak może trzy godziny. Wypita wódka przyjemnie krążyła w żyłach i wszystko wydawało się łatwe i przyjemne. I nagle jakaś dziwna siła podniosła nas z trawy i nakazała spojrzeć na drugi brzeg rzeki. Zaczęło się. Ustawiliśmy się na stanowiskach.

- Chłopaki! - zawołał Paul. - Mamy je! Idzie stado!

Po drugiej stronie była kilkumetrowa skarpa, łącząca się bezpośrednio z wodą. Wiedziałem, że antylopy muszą skakać do rzeki z wysoka i dlatego to miał być dobry materiał na fotoreportaż. Pierwsze szeregi zwierząt przystały nad urwiskiem i czujnie spoglądały w nurt. Dołem kotłowała się woda i czające się w niej krokodyle. Antylopy napierane przez dalsze szeregi zaczęły spadać ze skarpy. Na chwilę zniknęły, po chwili wynurzały się i z uniesionymi głowami spływały w stronę drugiego brzegu. Przez skarpe przewalał się nieskończenie wielki i żywy tłum gnu. Gady pozwoliły dopłynąć zwierzętom do połowy i gdy już w wodzie znalazło się setki antylop, krokodyle rzuciły się na żer. Rzeka zabarwiła się na czerwono. Co chwilę rozlegał się plusk, potem wielkie szczęki i kolejna ofiara zniknęła pod powierzchnią.

Krokodyl nie połyka pod wodą, dlatego, co kilka sekund nad lustrem pokazywały się obrzydliwie kłapiące gęby, pełne świeżego mięsa. Po chwili pierwsze gnu dopłynęły do brzegu. Wyszły z wody, otrząsnęły się i poszły dalej.

Minęło kilkadziesiąt minut. Krokodyle zrobiły swoje, a przez rzekę, już spokojnie, przeprowały się kopytne. Natura pobrała należny jej haracz.

- Mam już wszystko! - zawołał Paul.

Wystrzelałem kilkanaście filmów i potwierdziłem Paulowi takim samym okrzykiem. Kunz też był zadowolony. Teraz pozostało nam pakowanie i powrót do Dar Es Salaam.

Przy samochodzie czekała na nas Baluu. Nie była sama. Siedziała na ziemi otoczona grupą Masajów, wśród których rozpoznaliśmy jej synów. Przy nogach kobiety leżał mały chłopiec.

- Oto mój dzielny Jakaya - powiedziała z dumą Baluu. - Przyszłam wam pokazać mojego wojownika i podziękować panu Kunzowi. Mój syn jest już mężczyzną.

Rodzina kobiety zaczęła śpiewać, a malec powstał i pokuśtykał do Kunza. Mówił krótko. Nie zrozumieliśmy żadnego słowa, bo przemawiał w języku maa.

- On wam dziękuje - wyjaśniła Baluu.

Zaintrygowało mnie to cholernie, bo za co miał nam dziękować upośledzony syn starej murzynki? Wyczułem kolejny szwindel Kunza. Może nic by się nie działo, może nawet bym o tym szybko zapomniał, ale niespodziewanie z krzaków wylazł prosto na mnie mój pies. Tego było za wiele.

- Kunz - zapytałem. - Co jest grane?

- E tam, Jerry - odparł. - Wszyscy zdrowi, nie? Psu nic nie było, a jak wiesz ja mam morfinę na stanie i muszę pisać protokół użycia. Co miałem wpisać? Że dałem dziecku przeciw bólowi? Toż to granda kryminalna.

- A co napiszesz?

- Jak to, co? Pies miał tyfus, nie? Zdechł i został zakopany poza terenem Serengeti.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tą dziwną sytuacją, a potem zawołałem Baluu.

- Weź sobie tego psiaka - powiedziałem. - Jakaya będzie teraz potrzebował przyjaciela. Jest w końcu tym cholernym wojownikiem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jerzy, dodano 25.03.2009 11:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.